

Dlaczego na murach polskich miast jest tak wiele antysemickich napisów i symboli?

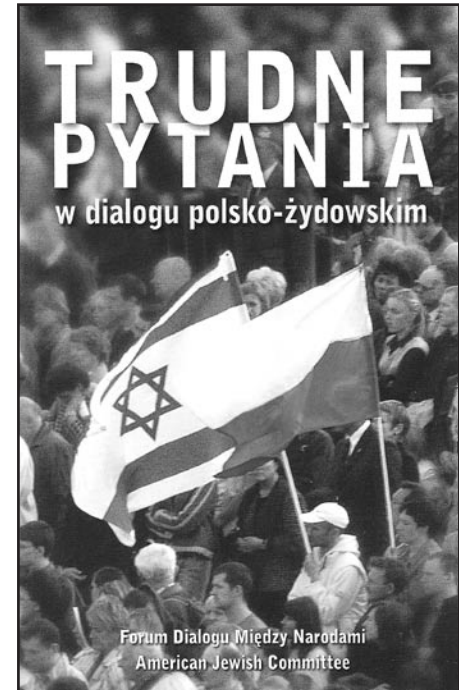
MARCIN KORNAK

Często się nad tym zastanawiam, widząc jakiś szczególnie obrzydliwy napis, który potrafił latami tkwić na frontonie budynku w centralnym punkcie dużego miasta albo nawet na budynku instytucji państwowej. I dochodzę do jednego wniosku: ludziom w Polsce, większości z nich, antysemickie napisy po prostu nie przeszkadzają, a jeśli nawet przeszkadzają, to nie na tyle, by się przeciwko nim zbuntować. Trudno bowiem mieć złudzenia, że kogoś boli czy bulwersuje napis „Żydzi do gazu”, jeśli widzi go kilka razy dziennie i nie odczuwa imperatywu, by „coś z tym zrobić!”. Obojętność na takie słowa i wszystko, co się za nimi kryje, wpisuje się jaskrawo w krajobraz Polski.

Możemy bez problemu wyznaczyć sferę innych wartości, tematów i idei, których

obrażanie wywołałoby w Polakach o wiele liczniejsze, bardziej zdecydowane, a co za tym idzie i skuteczniejsze, reakcje. Niestety, propagowanie antysemityzmu takich odruchów w Polakach *en masse* nie rodzi.

W 14. numerze wydawanego przez nasze stowarzyszenie pisma „NIGDY WIĘCEJ” ujawniamy zdjęcia antysemickich napisów i rysunków, znajdujących się na ścianach obozowych baraków na terenie Auschwitz-Birkenau. I już sam nie wiem, co jest w tym bardziej przerażającego – czy to, że ktoś był zdolny, by wykonać je w takim miejscu (bo może to nie powinno dziwić aż tak bardzo: skoro byli ludzie zdolni do dokonania Holokaustu, to czemu nie mieliby zdarzać się zdolni do takich napisów), czy fakt, że niektóre z tych napisów tkwią na swoich miejscach nawet kilkadziesiąt lat!





Fot. Piotr Piłuk

Gliwice, ulica Lipowa, 2000 r.

Oczywiście ta bierność wobec antysemityzmu manifestującego się na murach polskich miast, miasteczek i wsi jest jedynie częścią szerszego zjawiska – stosunku dużej części Polaków do Żydów, ich obojętności i wrogości, które odcisnęły się głębokim piętnem na polskiej historii, kulturze i teraźniejszości.

Sądzę, że podstawowe przyczyny obojętności i na antysemickie napisy, i po części na los Żydów, który stał się ich udziałem sześćdziesiąt kilka lat temu, tkwią w historii współistnienia Polaków i Żydów. Choć przebiegała ona na tej samej ziemi i zasadniczo była pokojowa, to jednak były to dwa prądy równoległych, często niezależnych od siebie zdarzeń i procesów, w których trudno mówić o wspólnocie doświadczeń, gdyż *de facto* zawsze była to historia dwóch odrębnych światów. Świata polskiej, chrześcijańskiej większości, który zachowywał daleko idący dystans, ujmując rzecz eufemistycznie, wobec „starszych braci w wierze” (to *notabene* stosunkowo nowa kategoria) i świata żydowskiej diaspory, który tendencje asymilacyjne zaczął przejawiać bardzo późno, dopiero w drugiej połowie XIX wieku, a i to jedynie na swych inteligenckich obrzeżach.

Od samego początku kształtowania się nowoczesnego narodu polskiego społeczność żydowska była pozostawiona poza nawiasem tego procesu, który zachodził w oparciu o dwie siły, inteligencję wywodzącą się z *narodu szlacheckiego* i Kościół katolicki, a fundowany był na wartościach właściwych dla obu tych sił. Po długim czasie dopiero, począwszy od klęski powstania styczniowego, zaczęły włączać się do tego procesu masy chłopskie. Natomiast Żydzi nigdy nie byli ani jego przedmiotem, ani podmiotem, sami też nie przejawiali specjalnej aktywności i determinacji, by to zmienić.

W ten sposób nigdy nie stali się *swoi*. Mało tego, dotknięci zostali stygmatem *obcości*, który wraz ze wzrastaniem w części społeczeństwa polskiego tendencji nacjonalistycznych zaczął nabierać coraz bardziej negatywnych odcieni.

Smutne, ale i symptomatyczne jest, że polska trauma po zakończeniu drugiej wojny światowej nie dotyczyła, albo dotyczyła w niewielkim stopniu, tragedii Szoah. Nawet wobec tak skrajnie dramatycznych zdarzeń bariera obcości otaczająca polskich Żydów nie została przełamana. Wystarczy wspomnieć krwawe antysemickie zajścia, które miały miejsce w Kielcach, Krakowie czy na Podhalu, praktycznie tuż po zakończeniu wojny, albo wymuszony exodus, a w rzeczywistości pogrom, jak Marzec 1968 roku nazywają nie bez racji Adam Michnik czy Henryk Grynberg. Trudno utrzymać, że zdarzenia te wywołały wśród większości Polaków wstrząs lub odruch sprzeciwu, a niewątpliwie liczne akty solidarności nie przybrały jednak, niestety, poważniejszych rozmiarów, rzadko wychodząc poza krąg społecznych elit.

Czy można się zatem dziwić, że rzecz tak w porównaniu z wymienionymi zbrodniami *blaha* jak antysemickie napisy na murach, nie mobilizuje w należyty sposób państwa i społeczeństwa polskiego do

przeciwdziałania? Chyba nie. Trudno się zdobywać na solidarność i odruch empatii wobec kogoś, kto jest obcy, a *obcość* polskich Żydów była i ciągle jeszcze, niestety, jest nacechowana pejoratywnie.

Ten dystans i negatywny stosunek jest obecny nawet na głębokich poziomach polskiej kultury. Jest nim też przesiąknięty polski język. Ładunek emocjonalny wobec Żydów, jaki wylania się z naszego języka potocznego czy nawet literackiego, jest jednoznaczny. A przecież w języku koduje się cały nasz stosunek do świata i rzeczywistości.

Przypominam sobie symptomatyczne zdarzenie, do jakiego doszło w 1998 roku w Łodzi. Policja zatrzymała tam dwóch 14-latków, sprawców zbezczeszczenia synagogi, na której wymalowali wizerunki swastyk. Według niektórych, tak *niepoważne* osoby sprawców świadczyły jakoby, iż niepoważne jest całe zjawisko. Ot, zwykły wandalizm bezmyślnych nastolatków. Jednak każdy logicznie myślący i wrażliwy człowiek dostrzega w tym samym fakcie świadectwo powagi sytuacji. Bo skoro antysemickim obędem przeżar-



Fot. Piotr Piłuk

Świdnica, ulica Wrocławska, 2000 r.

te bywają już nawet dzieci, to trzeba wobec takich faktów bić na alarm, a nie brnąć w samouspokojenie.

Rodzi się więc pytanie: Czy zatem zmiana tego stanu rzeczy jest w ogóle możliwa? Oczywiście, że tak. Jest to zadanie dla wychowawców, autoritetów społecznych, kościołów, ludzi kultury, działaczy społecznych i politycznych, władz państwowych, ale i dla każdego tak zwanego *normalnego człowieka*, bo przecież polem działania antysemickich przesądów jest nasza codzienność. Zmiana tego stanu rzeczy nie dokona się, rzecz jasna, szybko, ale dokona się, jeśli tylko wytrwale zmagać się będą z tym problemem ludzie, dla których ważna jest prawda, dobro i szacunek dla drugiego człowieka. A trudność tego zadania nie jest powodem, by się z nim nie zmierzyć. Wręcz przeciwnie.

Tekst zamieszczony w książce „Trudne pytania w dialogu polsko-żydowskim”, red. Maciej Kozłowski, wyd. Jacek Santorski & Co Agencja Wydawnicza, Forum Dialogu Między Narodami, American Jewish Comitee, Warszawa 2006.



Fot. Piotr Piłuk

Napis na bloku na osiedlu Retkinia (Łódź-Polesie), 2004 r.